

Głośniej o cichociemnych

W czasie II wojny światowej z Wielkiej Brytanii i Włoch przerzucono do okupowanego kraju 316 cichociemnych – spadochroniarzy Polskich Sił Zbrojnych. Blisko 100 z nich walczyło w Powstaniu Warszawskim. Ich przygotowanie i przerzut kosztowały więcej niż szkolenie komandosów GROM.

JAROSŁAW RYBAK

Kpt. Zbigniew Specylak, ps. Tur 2, skakał w nocy z 30 na 31 lipca 1944 r. niedaleko Grodziska Mazowieckiego. Następnego dnia, 1 sierpnia, przyjechał do Warszawy. Zdążył się tylko zameldować w lokalu konspiracyjnym. Około godz. 17 wybuchły walki. Nie mając żadnych powiązań z podziemiem, Specylak na kilka dni dołączył do grupy ochotników, którzy uzbrojeni w butelki z benzyną polowali na niemieckie czołgi. Dopiero po 13 dniach walk objął funkcję, do której miał właściwe kwalifikacje. Na Czerniakowie dowodził baonem, który od jego pseudonimu nazwano Tur. 13 września został ciężko ranny w głowę. Nocą z 18 na 19 września próbowano go ewakuować przez Wisłę pontonem, którym do powstańców dotarli żołnierze 1 Armii WP. Niemcy zauważyli łódź i szybko ją zniszczyli. Tur został drugi raz ranny. 21 września nieprzytomnego, leżącego na przybrzeżnej łasze, znaleźli go warszawscy piaskarze. Przytomność odzyskał w sowieckim szpitalu w Otwocku.

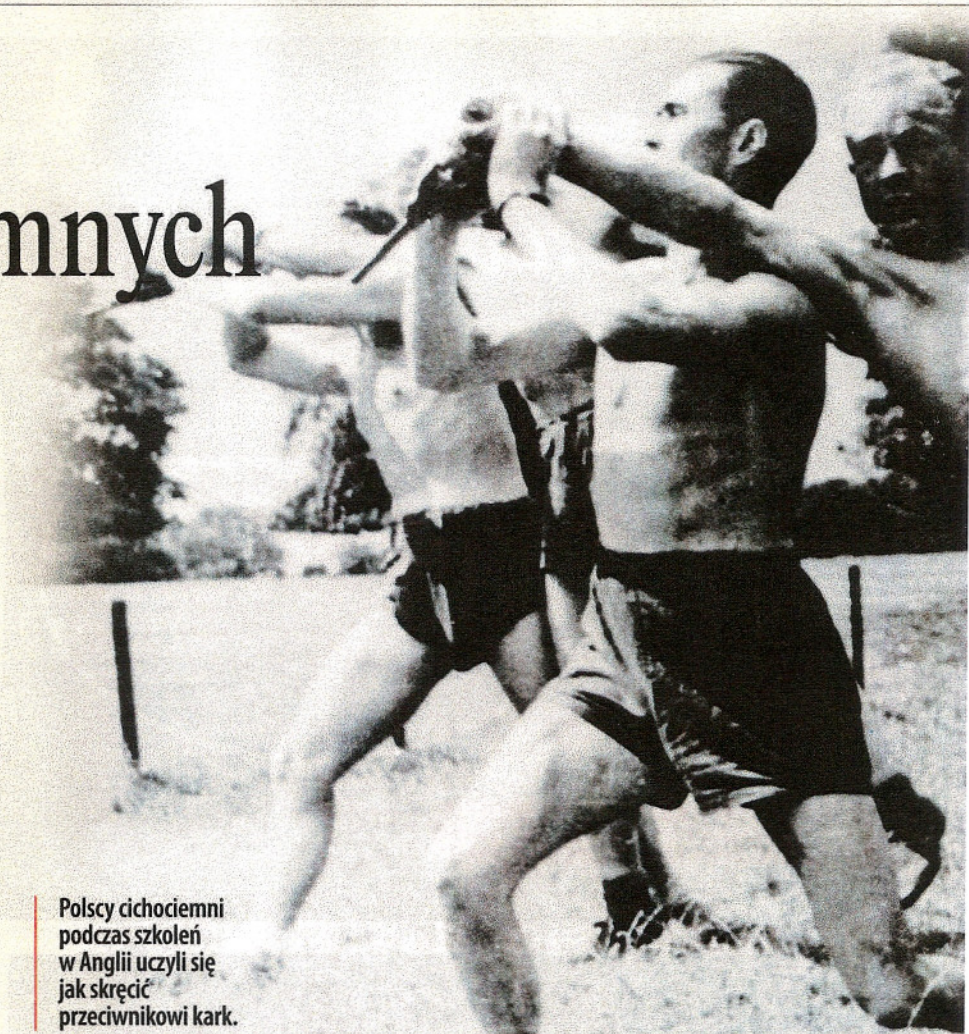
Gen. dyw. Tadeusz Kossakowski, ps. Krystynek, w nocy z 29 na 30 maja 1944 r. wylądował pod Tarnowem i natychmiast ruszył do stolicy. Powstanie

wybuchło, zanim zdążył objąć stanowisko w Komendzie Głównej AK. Przez dwa pierwsze dni walk budował barykadę na ul. Kruczej. Potem walczył jako szeregowy, dowodził nim podchorąży. Dopiero po 15 sierpnia zaczęto wykorzystywać jego kwalifikacje. Został kierownikiem powstańczych wytwórni broni. Podlegało mu ok. 800 ludzi, organizował warsztaty naprawy uzbrojenia, produkcji miotaczy ognia. Pod jego okiem wykonano 35 tys. granatów.

Na pierwszej linii walczyli genialni fałszerze dokumentów. Por. Stanisław Jankowski, ps. Agaton, był w AK szefem Wydziału Techniczno-Legalizacyjnego. W powstaniu najpierw dowodził plutonem, potem dwa razy przedzierał się ze swoim patroiem do Puszczy Kampinowskiej, żeby na Żoliborz sprowadzić odsiecz. Na koniec został dowódcą osłony Komendy Głównej AK.

Przed sierpniem 1944 r. kierownikiem specjalnej pracowni fotograficznej u Agatona był ppor. Stefan Bałuk. Ten cichociemny o ps. Starba urodził się w 1914 r., jest dziś jednym z ostatnich żyjących zrzutków. W czasie szkolenia w Wielkiej Brytanii, wraz z dr. Antonim Hartmanem, wykładowcą fotografii w Polskiej

Polscy cichociemni podczas szkoleń w Anglii uczyli się jak skrócić przeciwnikowi kark.



Szkole Wywiadu, opracował metodę pomniejszania meldunków. Kartki formatu A-4 fotografowano, film wywoływano, a poszczególne klatki typowej kliszy fotograficznej o wymiarach 24 na 35 mm znowu fotografowano. Jednak za drugim razem zdjęcia robiono, używając odwróconego mikroskopu, który zamiast do powiększania, służył do pomniejszania. Dzięki zastosowaniu tej techniki kartka formatu A-4 miała wielkość kropki przypominającej odchody muchy. Takie kropki naklemano na zwykłe listy. (Tę metodę tajnej korespondencji stosowano jeszcze wiele lat po wojnie). W powstaniu Starba walczył w batalionie Pięść, następnie w oddziale osłonowym Komendy Głównej AK.

Na spadochronie do kraju dotarli gen. bryg. Leopold Okulicki, ps. Niedźwiadek, który w czasie powstania służył w sztabie, a następnie został ostatnim dowódcą AK, oraz płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki, ps. Antoni, który podpisał akt kapitulacji powstania. Cichociemni byli dowódcami powstańczych batalionów, m.in. Parasola, Czaty 49, Leśnika, Rumu, Sarny i Baszty. Zrzutkowie zapewniali też łączność radiową z Londynem. Kilku zajmujących się wywia-



© IZBA PAMIĘCI JEDNOSTKI „GROM”

dem – zgodnie z zasadami swojej profesji – nie ujawniło się i nie brało udziału w walkach. W Powstaniu Warszawskim zginął co piąty cichociemny.

Pierwsze decyzje, dotyczące łączności władz na uchodźstwie z okupowanym krajem, podjęto już jesienią 1939 r. Najpierw zorganizowano sieć kurierów krążących między Warszawą a Paryżem. Równie szybko pojawił się pomysł, by do takich zadań wykorzystać samoloty, które mogłyby lądować na improwizowanych lotniskach lub zrzucać ludzi i sprzęt na spadochronach. Ze względu na nowatorstwo pomysł wydawał się nie do zrealizowania.

Jednak w grudniu 1939 r. w Paryżu spotkali się trzech kapitanowie: Jan Górski (cichociemny Chomik), Maciej Kaleniewicz (cichociemny Kotwicz) i Jan Jaźwiński, którzy planom nadali realne kształty. Udało się im przekonać sporą grupę sztabowców. Najważniejsze było jednak to, że pomysł spodobał się Zofii Leśniowskiej, która przedstawiła go swojemu ojcu – gen. Władysławowi Sikorskiemu.

Gdy w połowie 1940 r. polskie władze ewakuowały się do Londynu, idea zaczęła nabierać kształtu. 29 czerwca 1940 r.

w sztabie naczelnego wodza powołano tajny zespół do łączności z krajem – Oddział VI. Kilkanaście dni później powstało brytyjskie Dowództwo Operacji Specjalnych (Special Operations Executive – SOE), miało ono wspierać organizacje konspiracyjne w okupowanych państwach. Oddział VI zaczął ściśle współpracować z SOE. Spośród wszystkich krajów korzystających z pomocy SOE Polacy mieli największą autonomię.

W Oddziale VI Komenda Główna AK składała zamówienia na oficerów o ściśle określonych specjalnościach. Podziemna armia potrzebowała dywersantów, oficerów operacyjnych, łącznościowców, czołgistów, lotników. Planując ogólnonarodowe powstanie, przewidywano bowiem przejmowanie hitlerowskich czołgów, opanowywanie lotnisk i wykorzystanie w walkach zdobycznych samolotów.

Kandydatów do służby w kraju poszukiwano w odtwarzających się na Zachodzie polskich oddziałach. Propozycje przedstawiano w czasie indywidualnych rozmów. Cichociemni wspominają, że mówiąc o nowych zadaniach, oficerowie werbunkowi dobitniej akcentowali niebezpieczeństwa, niż zachęcali do męskiej przygody. Wtedy pojawiła się nazwa nowej formacji, oddająca jej sposób działania – cichociemni. Z czasem usprawniono system selekcji tak, by z tysięcy żołnierzy wyłuskać najlepszych kandydatów. Z tego powodu zdarzały się – wcale nie tak rzadko – protesty dowódców macierzystych jednostek, którzy nie chcieli pozbywać się dobrych ludzi.

Pełne przeszkolenie zrzutków trwało wiele miesięcy i obejmowało cykl kursów. Kandydaci przechodzili psychotesty. Następnie trafiali do słynnego małego gaju na szkolenie z podstaw dywersji, minierstwa, preparowania materiałów wybuchowych z rzeczy znalezionych np. w zwykłej kuchni, strzelania specjalnego, walki w bliskim kontakcie. Uczyli się, jak skrócić kark przeciwnikowi, złamać mu kręgosłup czy zmiażdżyć krtań kamieniem owiniętym w chusteczkę do nosa.

Stresujące były skoki ze spadochronem. Przed II wojną światową spadochroniarstwo w Polsce raczkowało, dlatego wielu żołnierzy dopiero na kursie widziało spadochron i siedziało w samolocie. Ale pierwszą wieżę spadochronową na Wyspach Brytyjskich zbudowali właśnie Polacy.

Całe szkolenie było bardzo realistyczne. Działania w terenie opanowanym przez przeciwnika trenowali atakując zakłady przemysłowe, przenikając do urzędów. Ćwiczywać mieli atrapy bomb, a obiekty były chronione przez nieuprzedzonych o manewrach, uzbrojonych wartowników, którzy cały czas obawiali się ataku niemieckich dywersantów. Gdy więc któremuś przyszedł zrut-

kowi powinęła się noga i wpadł w ręce angielskiej policji, mógł być przez kilka dni ostro rozmiękczyony jako potencjalny szpieg.

Na zajęciach z mechaniki i ślusarstwa uczono otwierania zamków, dorabiania kluczy, cięcia szyb w oknach. Chemicy instruowali, jak sporządzać atrament sympatyczny, preparować środki odurzające i trucizny.

Kilka dni trwały zajęcia z charakteryzacji, kształcącej umiejętność zmiany wyglądu zewnętrznego. Dłuższa była nauka panowania nad odruchami. Cichociemny musiał zapomnieć o naturalnych zachowaniach, czyli np. o odwróceniu się, gdy ktoś na ulicy krzyknie jego imię. Odpaść z kursu można było nawet wtedy, gdy ktoś w kantine odruchowo odwrócił się, słysząc swoje nazwisko i informację, że przyszedł list od rodziny.

Duży nacisk kładziono na tzw. legendowanie. Podczas wojny zrzutkowie posługiwali się co najmniej kilkoma nazwiskami, bardzo często zmieniali dokumenty. Musieli się uczyć nowej tożsamości, precyzyjnie odpowiadać na pytania o daleką rodzinę, miejsca nauki czy pracy. Ponad 70 kandydatów na cichociemnych przeszło przez Polską Szkołę Wywiadu, działającą w Anglii pod kryptonimem Oficerskiego Kursu Doskonalenia Administracji Wojskowej. 37 z nich zostało zrzuconych do kraju.

Przed skokiem cichociemni składowali przysięgę na wierność AK. Często też kapłan udzielał im rozgrzeszenia bez spowiedzi in articulo mortis – w obliczu śmierci. Przed odlotem czekało ich sporo papierkowej roboty. Podpisywali deklarację o zachowaniu tajemnicy, nienadużywaniu alkoholu, szczególnie w lokalach publicznych, niepodejmowaniu działalności politycznej oraz nienawiązaniu kontaktu z bliskimi bez zgody AK.

Skrupulatnie rozwiązywano sprawy finansowe. Każdy skoczek podpisywał dokument: „Odprawa pieniężna spisana z ob. (...) w związku z jego podróżą do kraju drogą lotniczą”. Obliczano w nim „zaliczkę na djety i koszty podróży”. Na początku 1943 r. skoczek otrzymywał 20 okupacyjnych złotych, 85 marek niemieckich i 40 dolarów amerykańskich. Z tej kwoty musiał się rozliczyć w Warszawie. Wyliczono, że „djety dzienne wynoszą 4 dolary (lub równowartość w złotych według kursu giełdowego). Do kosztów podróży zalicza się koszt przejazdu koleją, autobusem, statkiem itp. oraz dojazd do stacji wyjściowej i ze stacji do mieszkania”.

Przed wejściem do samolotu zrzutków skrupulatnie kontrolowano. Należało wypruć metki w ubraniach cywilnych. Wszystkie przedmioty osobiste oddawano do depozytu. W celu lepszego le- ▶

► gendowania w kieszenie wkładano dostarczone z kraju skrawki okupacyjnych gazet, bilety autobusowe, papierosy.

Na ubranie cywilne zakładano kombinizon ochronny, w którym było miejsce na broń, nóż, żywność, kapsułkę z cyjankiem potasu oraz sześć tabletek Pervitinu. To środek podobny do amfetaminy, który zażywano w sytuacjach wyczerpania, po poważnej kontuzji czy otrzymaniu postrzału. Wolne miejsca w kieszeniach często wypychano fałszywymi młynarkami. Nikt nie ewidencjonował liczby zabieranych podrabianych banknotów. Na Wyspach drukowano je w płachtach, wszystkie banknoty w jednym arkuszu miały ten sam numer. Po ich pocięciu cichociemni tasowali je, tak aby w stertach pieniędzy nie powtarzały się te same numery. Uzupełnieniem wyposażenia był zaplombowany pas z kilkuset tysiącami prawdziwych dolarów, przeznaczonych na działalność Państwa Podziemnego.

Na koniec pracownicy Oddziału VI zapoznawali zrzutków z lokalizacją głównej i zapasowej placówki odbiorczej oraz hasłem do kontaktu z oddziałem ze zrzutowiska. Podawali im także adresy i hasła lokali w Warszawie. Zgodnie z konspiracyjną zasadą, ze względów bezpieczeństwa należało to wszystko zapamiętać, a nie zapisywać.

Zrzuty odbierała Syrena. Ta specjalna komórka Oddziału V KG AK odpowiadała za przygotowanie lądowisk oraz harmonogramów dyżurów oddziałów partyzanckich, przeszkolonych do naprowadzania samolotów i odbioru ptaszków – jak w partyzanckim slangu nazywano powracających z Anglii. Po skoku cichociemni zdawali broń do wódcy placówki zrzutowej, a pas z dolarami – przedstawicielowi cywilnych władz podziemnych i na własną rękę ruszali do Warszawy.

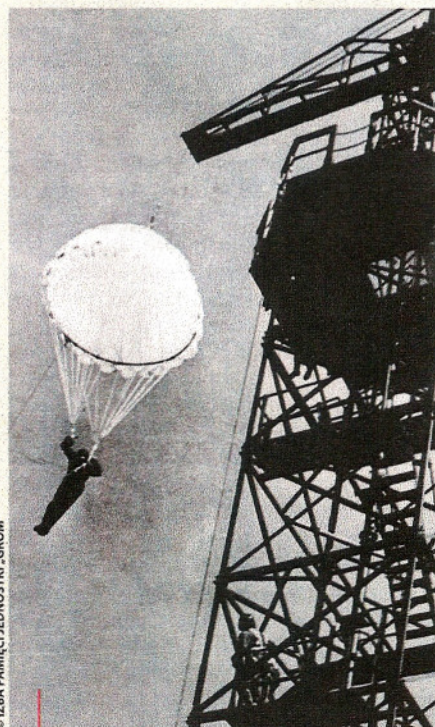
Zanim jednak udali się w dalszą drogę, ludzie z Syreny sprawdzali, czy przygotowane w Londynie dokumenty nie budzą wątpliwości. Zdarzało się bowiem, że wydrukowane na angielskim papierze wyglądały trochę inaczej niż produkowane w kraju. Na wszelki wypadek z Warszawy przywożono więc nowe komplety lewych papierów. Na miejscu wklejano tylko fotografię skoczka. Jeśli Oddział VI dostarczył zdjęcie wcześniej, już na zrzutowisku cichociemny otrzymywał perfekcyjnie podrobione dokumenty, które podczas kontroli nie budziły żadnych podejrzeń.

Każdy zrzutek musiał przyjechać do stolicy. Tam bowiem w ciągu kilku tygodni aklimatyzował się pod okiem opiekunów, zwanych Ciotkami. To był czas poznawania okupacyjnej rzeczywistości. Ciotki zwracały uwagę na szczegóły, które łatwo mogły zgubić przybysza

– np. że w trakcie kontroli pod żadnym pozorem nie wolno sięgać po dokumenty, a tylko rozchylić poły płaszcz, by żandarm sam po nie sięgał.

Zorganizowanie sieci lokali konspiracyjnych w terroryzowanej Warszawie było majstersztykiem. Najpierw cichociemni pukali do drzwi lokali kontaktowych głównych lub zapasowych, nazywanych londyńskimi, bo ich adresy znano w Oddziale VI naczelnego wodza. W nich dostawali adresy kwater stałych. Osobną kategorią były mieszkania służące do kontaktów krajowych.

Każde z mieszkań należało odpowiednio dobrać. Kontrwywiad AK sprawdzał



© IZBA PAMIĘCI JEDNOSTKI „GROM”

Wielu skoczków po raz pierwszy widziało spadochron na kursie.

właścicieli i dozorcę, w miarę możliwości przyglądał się też sąsiadom. Adresy musiały być łatwe do odnalezienia przez osobę, która nie znała Warszawy, położone w ruchliwych miejscach, żeby nowy lokator nie rzucał się w oczy. W każdym mieszkaniu miał też być telefon.

W czasie aklimatyzacji ze zrzutkami przeprowadzano rozmowy, podczas których proponowano im objęcie konkretnego stanowiska, a potem wysyłano do wykonywania zadań.

Cichociemni nadal fascynują ludzi zajmujących się działaniami specjalnymi. Obowiązujący w polskich wojskach specjalnych sposób naboru, prowadzony wśród wyróżniających się żołnierzy jednostek regularnych, i selekcja służąca wyłuskiwaniu najlepiej roku-

jących kandydatów – to odbicie rozwiązań opracowanych dla cichociemnych. Do dziś nikt nie wymyślił lepszego systemu przygotowania profesjonalnego komandosa.

Można też szukać podobieństw w metodach szkolenia. Zrutzkowie wytrwale wyrabiali nawyk precyzyjnego strzelania bez konieczności celowania. Komandos z jednostki specjalnej GROM, która od 1995 r. kontynuuje tradycję skoczków spadochronowych Armii Krajowej, robią tak samo, nazywają to „wyrabianiem pamięci mięśniowej”. Podobnie jak cichociemni współcześni komandosi strzelają dubletami – dla lepszego efektu pakuja w przeciwnika nie jedną, ale dwie kule.

Jeden z ważnych oficerów GROM bardzo poważnie podszedł do sprawy czerpania z doświadczeń cichociemnych. Napisał pracę magisterską o ich szkoleniu. Ten materiał został następnie wykorzystany przy opracowywaniu programów szkolenia współczesnych komandosów.

Wystarczy uzmysłwić sobie, jakie problemy logistyczne pojawiały się przed kilku laty przy tworzeniu polskich kontyngentów wojskowych w Iraku czy Afganistanie, żeby zrozumieć, na co przed ponad 70 laty porywali się autorzy koncepcji cichociemnych. A oni działali w czasie wojny, w najgłębszej tajemnicy musieli spać w sieć komórki oddalone od siebie o tysiące kilometrów, skoordynować pracę setek ludzi.

Realizacja tego programu była piekielnie kosztowna. W czasie wojny, gdy każdy nowoczesny samolot był na wagę złota, trudno nawet oszacować koszty utrzymania specjalnej eskadry bombowców, wykonującej zrzuty dla AK. Jeśli tak spojrzymy na problem, okaże się, że wyszkolenie i przerzut skoczka spadochronowego AK pochłaniały więcej pieniędzy niż przygotowanie współczesnego komandosa. Dlatego cichociemni należeli do najdroższych żołnierzy Rzeczypospolitej.

W 1995 r. gen. Wayne A. Downing, zwierzchnik dowództwa operacji specjalnych USA, zaprosił jednego z cichociemnych – ppor. Bronisława Czepczak-Góreckiego, ps. Zwizak – na spotkanie do najbardziej elitarnych amerykańskich jednostek specjalnych. Tam zgottowano mu entuzjastyczne przyjęcie. Czepczak-Górecki wspominał działania skoczków spadochronowych, operacje Armii Krajowej, powojenne prześladowania cichociemnych przez komunistyczną bezpiekę, w tym deportację do ZSRR. Zaprawieni w licznych wojnach amerykańscy komandosi na stojąco żegnali starszka, który opowiadał, jak kilkadziesiąt lat wcześniej Polacy tworzyli nowoczesne siły specjalne.

JAROSŁAW RYBAK